



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POMNIK MICKIEWICZA.

Ogromna była cisza na niebie i na ziemi.

Perłowe mgły uniosły się ku górze i jednolitej barwy szatą osłaniając niebo, utrzymały się; ze wszystkich ulic Warszawy wysunęły się tłumy ludu, i zbliżywszy się przed pomnik, w milczeniu uroczystem stanęły.

Tłum stał przejęty ważnością dnia, poważny; cichy, uroczysty!

Milczenie—cisza—oczekiwanie!

Dziesiąta!

I oto odezwały się ciche dźwięki muzyki modlitwy Moniuszki, na to hasło z cichym szmerem opadły zasłony pokrywające pomnik i ku narodowi swojemu, znana, ukochana spojrziała postać wieszca.

Tłum odkrył głowy i pochylił się.

Zabrzmiały ciche słowa kapłana, który poświęcił ziemię, na której pomnik stanął, poświęcił lud, który w milczeniu hołd oddał największemu ze swoich.

Odezwały się dźwięki poloneza Szopena—i uroczystość skończona.

A wtedy garstka po garstce wysuwała się z tłumu, niosąc wieńce i kwiaty do stóp poety.

I kładły się wieńce i sypały się kwiaty wśród niczem niezamąconego milczenia.

BIAŁA BASZTA

NOWELLA

przez

SZCZĘSNĄ.

(Dokończenie).

Weszła do zamku z wystraszoną Hanką, ciężkie drzwi za nią zatrzasnął Ścibor, na dziedzińcu i wałach rozpoczęła się bójka. Widziała Małgorzata z okna, że się Zdenko ani ruszył do walki z tem wstrętne poselstwem, zuchwała gromada stawiała się ostro, ale Ścibor i łucznicy wyprosili ich przemocą, pięściami za bramę, nie obeszło się bez pokaleczeń, pacholkiwie śmieli się z drużbów i starosty... Korowaj i czerwone na drażkach chusty wyrzucili za mur, przedrzeżniając weselne pieśni...

Zdenko stał oparty ościanę i szatański uśmiech drgał mu na wargach. A to mu się udało! wieść zapuściła korzenie... rozeszła się w mig... znalazły się iskry pod popiołem... Mściśław rozkochny do wściekłości, postanowił dobić swego... nie odradzał mu Zdenko... wiedział, że zuchwalec zostanie odrzucony... wiedział, że się gromada obrazi... że stary zwyczaj słowiański pogwałcony zostanie... a za tem zemsta... niebezpieczeństwo... konieczność pomocy, obrony, — wtedy znajdzie się on, z tym hufcem, do którego to niby dla króla zwoływał; w istocie zbiegów z wyprawy ze setki miał już za sobą, którzy lękając się sprawiedliwości Śmiałego, kupili się dokoła przebiegłego a zdolnego młodzika, gotowego sta-

nać na czele wszelkiego ruchu, byleby w jego chaosie unieść dla siebie Małgorzatę...

Gdy się uciszyło na dziedzińcu, rozeszli się ludzie do swych robót, Ścibor stanął naprzeciw Zdenka i patrzył mu w oczy, łuk naciągał, napiął, próbował...

— Czego ty chcesz? sługo! — zgrzytnął rycerzyk pysznie.

— Tego, czego ty nie chcesz, zdrajco! — huknął Ścibor.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się młokos — krótko widze! nim wy się prawdy domacie, będzie po was! Masz jaką obronę dla miłościwej pani, gdy gmin tu napadnie mścić się zniewagi? co?

— Mam życie, które oddam!

— Pies zamkowy też nie ma więcej do dania, tylko za życia lepiej wietrzy... ha, ha! — drwił szyderczo Zdenko.

— Nie wietrzyłem źle, skorom się dziś dowiedział, że... słuchaj... że świeciddo, które Hanka na piersiach nosi, posłane było dla — pani... przez pana! z wieścią... tyłkoś ty wieść zagrzebał pod ziemią... wraz z posłem... rabusiu nocny... na łowy chodzący! spudłowałeś! a widzisz! zem cię wytropił zdrajco!

Zdenko milczał poblady... złe godziny bić dla niego poczęły... Wrzało w nim wściekle, rozpacznie... Patrzył w dolinę niespokojnie... czegoś szukał wzrokiem... wyglądał... Z daleka... w dąbrowie... niby echo zgłoszone trąbki dźwięknęły i ustało... Obchodzić zaczął wały i w jednych drzwiczkach przekręcił klucz, otworzył je, przytknął... klucz rzucił do fosy... i obchodził dalej... Niedbale patrzył, jak małe pachole jakieś rozmawiało ze Ściborem na wałach, a korzystając z tej, jak mniemał, dłuższej gawędy, poskoczył do drzwiczek, jak kot zwinny wbiegł na schody baszty, przez wylot ujrzał dwa konie na błoni, z dziesiątkę ludzi... i bez kołatania pchnął drzwi komnaty... runął do środka... porwał niewiastę śpiącą w objęcia, otulił jej głowę chustą, żeby

nie krzyczała i w mgnieniu oka był na dole... dziwił się jeno, że niewiasta mu się nie bronila, kładąc senną głowę na jego piersiach, a olbrzymie jej włosy rozsypały mu się po ramionach, muskając w ręce jak jedwab pachnący... Już był na dole, już widział konie przy spuszczonej moście, przez który właśnie wchodziło do zamku pachole owo, gdy osłupienie zawróciło mu w głowie... zmroziło serca bicie... usłyszał na dziedzińcu czysty, radosny głos Małgorzaty, która zbiegła przed chwilą, usłyszawszy chrzęsty spuszczanego mostu.

— Od pana mego jesteś! żyje pan!

— Żyje, zdrów! na grodach czerwieńskich ostawał go król...

— Żyje! — zawołała z całej siły Małgorzata.

— Kłamiesz! — ryknął Zdenko, upuszczając porwaną mimowoli Hanke, i ostrym mieczykiem przebił z wściekłości pierś pacholęcia. Jęknęło biedne, chude, wymizerowane zmęczeniem wędrownie ptaszę, do nóg się słaniając niewieście...

— Rozbójniku! — wrzasnął Ścibor — morderco dobrych wieści... i tego chcesz zabić jak tamtego w lesie!

Małgorzata głowę podniosła w przerażeniu, nie mogąc przyjść do słowa między tą błogą wieścią życia a tą nagłą śmiercią, co się wila u jej stóp. Pochyliła się znów nad dziecieniem... Ścibor nacierał na nętnika ostro, lecz krzyk Hanka powstrzymał go w zapędzie.

— Nie mordujcie! — wołała rozpaczliwie.

Zdenko zwrócił się ku niej:

— Ty moja teraz! — i chciał ją pociągnąć, ale się wyrwała i jak szalona przeleciała po moście, krzyżąc.

— Boję się ciebie... straszny jesteś!

— I ty nie chcesz?! — chrapał Zdenko, poskoczył za nią, ujął, na koń rzucił, sam skoczył w siodło i popędził przez błonie...

— Łucznicy za nim! — rozkazała Małgorzata — siostrę mi odbi!

Skoczyli łucznicy, ale Zdenko złączył się ze zbrojnymi na skraju dąbrowy i zniknął w gęstwinie... Pachole tymczasem dogorywało, dziwną jakąś, rozmarzoną, legendową śmiercią... rozciągnięte na murawie wałów, w rusińskim, białym, płóciennym ubraniu, blade jak chusta, z rozrzuconymi czarnymi włosami, z oczyma wpatrzonymi w Małgosię z zachwytem, z rękami złożonymi na piersiach... rozdyszane, nie żałujące życia; smętne a pogodne...

— Dziecię moje... biednyś ty mały... życieś mi przyniósł na ustach twoich... a śmiercią ci zapłacono...

— Miłościwa... — szeptało pachole — szczęśliwym ja, że widzę was... wiedziałem do jakiej pani idę... pan opowiadał mi... jak w bajce was widziałem... śpieszyłem... byle was ujrzeć... wyście tacy, pani, jak w pieśniach królowe... ach... Pan wróci... wróci... jeno co najtrudniejsze, to król mi powierza... ciemno mi, miłościwa pani, rękę mi dajcie...

Małgorzata grzała jego zziębnięte dłonie swym oddechem, łzami się zalewając.

— Ah... — majaczyło chłopię — hełm złoty na waszej głowie... i lica takie krasne... i głos taki jak aniołów w niebiosach... dobrze mi...

— Dziecię, nawet imienia twego nie wiem!

— Wasylko... sierota... pchano mnie w świat, bom nigdzie nie zostawiał nikogo... wy mnie pożałujecie? miłościwa...

— Moje serdeczne pachole... jak syna cię miłuję... częścią życia ratowałbym cię pragnęła...

— Oj, dobrze mi... ale już ledwo was widzę...

— Wasylku! — jęknęła Małgorzata.

— Pan żyje... żyje... — powtórzyło pachole swe poselstwo i zamknęło czarne, rozmarzone oczy na wieki.

Niewiasta zalamana ręce:

— Ot, tak... wszystko się płacze... w dniu jedynym... w jednej chwili, serce tętni radością i ustaje z bólu... Ścibor! czy to wszystko prawda? Pan żyje! to dziecko niewinne a ofiarne umiera, Zdenko napastuje, zdradza, zabija i siostrę mi porywa!... Jedna dobra wieść z tyłu trucziny się miesza... A, co jeszcze mnie czeka, nim pan mój wróci? boję się już nie lat, lecz dni... godzin się boję...

Księżyce wszedł wielki i blade na pogodne błękity bez chmur; nad sinem, zimnem ciałkiem chłopięcia modliła się niewiasta we łzach, stary żołnierz stał na mieczu oparty i dumal, dąbrową szły głuche szelesty jesiennych liści, a kilka chmur czarnych kłębiło się nad wieżycami zamczku...

— Rycerski mu pogrzeb sprawimy — rzekła niewiasta.

— Zasłużył na to, miłościwa pani... — odpowiedział Ścibor.

Druga już wiosna zieleniła murawę na mogile Wasilka, a z kwitnącej życiem wieści, którą przyniósł w mury forteczki, nie było dotąd owocu. Zrazu, wieść że pan żyje i wraca, trzymała w odaleniu zuchwałców, którzy targnęli się na spokój rycerskiej pani zamierzali; później drwiec znowu zaczęto w okolicy z upartej kobiety i dowiadywać się coraz częściej i śmielej przy bramie, co porabia, czy zdrowa, czy piękna, czy sroga?...

— Zdrowa i sroga! — odpowiadał Ścibor.

Czasy zaczynały być niespokojne... bandy ludzi przeciągały doliną z krzykiem, hałasem... czasem bójkę zawzięte toczyły się między kupkami kmieci a rycerzy, zostawały trupy na błoniach, a nocą krakały stada kruków nad pozostawionem ciałem. Tu i tam ognie wielkie i długotrwałe oznaczały palące się domostwa, a od czasu do czasu szybki, zbrojny poczet królewski przelatał w cwał gościncem i zniknął za wzgórzami.

— Coś się dzieje... — mówiła Małgorzata, stojąc na murach.

— Złe się dzieje... — opowiadali łucznicy, którzy teraz wysyłała co dni kilka, aby zbrojnie i szumnie dawali znać okolicy, że zamek czuwa i patrzy i słyszy.

— Pani miłościwa... — król wrócił... okrutnie karze rycerzy, którzy go opuścili... okrutniej kobiety, które mężów pozdradzały i zważywszy o ich powrocie, pobrały sobie innych z kmieci, ze sług... Co się tam dzieje! Oczy pańskie nie zniosłyby tego widoku... w obliczu mężów żonom ucinają ręce, nogi, twarz oblewają smołą, wykiwają oczy... mordują dziatki z nowych małżeństw zrodzone... a rycerzy król wieszać każe po twierdzach, po rynkach, dla przykładu.

— O Hance, o Zdenku nic nie wiecie?...

— Jak kamień w wodę wpadł... on mądry... nie zginie...

— Ale siostra... — westchnęła pani.

— I ona mądra — rzekł Ścibor — i jego nie da, bo go miłowała, i siebie nie da, bo jej miłe życie.

— Bardzo o nią niespokojna. Ścibor, gdybyś ty skoczył do Wikty jutro, może ona co wie o nich? Przez dzień tam zajedziesz, noc spoczniysz, w dzień wrócisz pod wieczór...

— Oj, gdybynie ta noc... pani sama w zamku...

— Kłamię się nie będę... trąbić każe, obchodzić... a jak o siostrze pomyślę, to mnie strach przelata, w takich rękach!

— Jak wola wasza. Wrócę co najrychlej — rzekł sluga.

I pojechał. Noc minęła spokojnie... pacholko wie objeżdżali zamek, trąbili, hukali sobie w odpowiedź... Nade dnem wybuchnęła gwałtowna burza, pioruny waliły, pani rozkazała do zamku im wrócić, do izb już odejść; słońce, najbezpieczniejszy strażnik, miało się wkrótce ukazać... Legła na łożu i znużona bezsennością drzemała lecz gromy i szum ulewy wyrwał ją ze snu... Małgorzata znała przyrodę, burze i wichry, szumy, łaskoty, szmery drobnych deszczów i marudne ociekanie szarych paciorków słoty... Wśród tyłu lat samotności, wrażliwa i trochę zabobonna, z wielką siłą przeczuć, która choć ją ratowała z ostatniej rozpacz, ale nieraz dręczyła przywidzeniami i strachami, rozumiała wszystkie głosy jakimi mówiła, szeptała, groziła natura... I dla tego też teraz... słuchając ryku tej wiosennej burzy, nie mogła sobie wytłómaczyć, jakiby to wicher mógł tak jednostajnie uderzać w ścianę baszty, tak sucho, twardo, w odstępach dokładnych... zdziwiło ją to, wstała, słuchała, o — znów! i znów... co to takiego? w prostej linii pod jej oknem... Przyłożyła ucho do ściany... i wyraźnie uczuła jakby uderzenia młota czy siekiery w odstępach i to coraz wyraźniejszych... Poszła do

okna... Deszcz lał ulewny... ciemno było prawie przechyliła się aby zobaczyć... błysnęło na niej i w świetle tem ujrzała... głowę mężczyzny z podniesioną ku niej twarzą... o iskrzących, miętych oczach i złotawej brodzie... siekię wbijał szybko i zręcznie żelazne wielkie ów w mur, stawał na sianie nogą, co mu nietrudno było przy pochyłej ścianie i dalsze stopnie wbił coraz wyżej... wyżej... jeszcze z jakich dwadzieścia, a będzie przy jej oknie... Poskoczyła do drzwi, aby umknąć napaści zuchwałca i zawałać żołnierzy... ale pchnąć drzwini mogła... by z tamtej strony zamknięte! Ah! zdrada znów! kiedy? kto? nie czas było myśleć... porwała miłość ojcowski, na wszystko gotowa... — śmierć raczej niż hańba! to był testament jej rodzica... z chwyci oręż wyjęła... stanęła tuż przy ścianie, rów z okienkiem i czekała... Słyszała za oknem dźwięk człowieka mściwego a radosnego... jak wilk dopędzającego sarnę... byleby tylko nie wślizgnął się od razu, boby go może zabić musiała... a za walka czy w niej dostoi... czy ją ręką niewiedzie... znała swego przeciwnika... potęgą był... a nie mordować ją tu przychodził... zdobyć... porwać z zamku... żebyż choć nienależnie pałał, ale nie, to było namiętne miłowanie, które mu dodawało przytomności w tej rozróżnej burzy, na pochyłościach tego wysokiego fortecznego muru...

— Hal — mruknął złotawy tygrys na wysokości okna i jedną ręką schwycił się uszaku.

Małgorzata cięła po ręce, odpadły dwa napastnik syknął z bólu.

— A! jesteś! dobrze! — i drugie przełożył mię do wnętrza... Małgorzata cięła znowu, silnie i lepiej, bo błysnęło w tej chwili i widziała go mierzyć. Buchnęła krew z ramienia strugą, mierzwiła się zachwiała... krew go bardzo uchodziła chwycił się drugim ramieniem, ale z ręki krew płynęła, jęknął zajądło i spadł z baszty murawę i umilkł zupełnie... Małgorzata słuchała chwilę... potem się oknem wychyliła... ściana baszty była we krwi, nadole leżał bezładny wrzaw broczący w czerwonej kałuży... ciemno jej w oczach zrobiło... miecz z rąk wypadł... już była bezpieczna... ale tam spoczywał... martwy zabity człowiek... przez nią!... Straciła przytomność, osunęła się na ziemię pod ciężarem szarych, piekielnych, obłądnych myśli i uczuć...

Burza przeciągnęła się jeszcze z godzinę; gwałtowny Ścibor niespokojny na wałach zamku stał i wzrok podniósł ku baszcie, struchlał. Ściana okna ku ziemi pokryta była plamami czerwonej krwi, a pod ścianą na dole krew z wodą deszczową tworzyła strumień okropny. Jednym skokiem był na górę i zdumiał się, że drzwi by od schodków zamknięte. Gwałtownie kluczem obciął i wpadł do środka. Małgorzata leżała na ziemi.

— Pani miłościwa! — wrzasnął boleśnie, przeskoczył, wziął jak dziecko na ręce i na ławie złożył. Nie była zraniona, jeno blada jak śmiertelnik i nieruchoma... Domyslał się, że coś się działo, bo miecz leżał pod oknem i ktoś tu swą krew otrzymał. Wściekle zacisnął pięście i zaczął w swój róg na alarm. Kobieta otworzyła oczy, Ścibor rzucił się do niej.

— Miłościwa!

— Mściślaw... — rzekła wskazując na okno... widziałeś na dole? nie żyje, co?

— Nikogo nie masz na dole... poszedł dziki rycerz w swą knięję... w lesie spotkałem dwóch ludzi konnych, w środku wieżli trzeciego... oni musieli być... ale pani miłościwa, nie był to ratunku? czemu drzwi zamknięte?

— Czemu? bo odpadają ode mnie sługi mojej, ty mi jeden w końcu zostaniesz... czy ja go zabiłam, Ściborze?

— Szkoda, żeś go pani w łeb nie mierzyła, ręką bez palców mściwszą się stanie... żyw on! pociągnął, a głos mi się zdawał znajomy jakis alez przeleciał na koniu, bo mnie coś pchało do zamku... Siostra pozdrawia was, tamci dwoje kędyś powędrowali na północ, nie widziała ich, ale słyszała... tam im żyć między Perkunem a Poswistem, po pogańsku. Uspokójcie się pani... ciężkie czasy nadeszły... ale musimy trwać.

Małgorzata oczy przymknęła i zapadła w gorączkowe odrętwienie. Ścibor przebiegł oknem

po przerażonej służbie, która się zbiegła, a nie wiedziała wcale o wypadku, jaki się na tle burzy odegrał i w żalości spoglądała na panią, spoczywającą jak bez duszy.

— Wszyscyście tu?

Każdy pchał się, aby być widzianym, że jest.

— Semka łuczniaka nie masz!

— A lotr! on krewniak Mściśława?

— Stryjeczny.

— A może tu jeszcze ten łożbójnik ma jakich družbów!

Zaległo milczenie. Scibor uważnie ich badał.

— Pacholcowie zostaną, jeno łucznikom już nie wierzę, pięciu było, dwóch dyabeł dawno skusił, obejdziemy się bez reszty... między wami się zdrada gnieździła—wolnieście od służby!

— Miłościwa pani nas jeno odprawić może!

— Miłościwa pani was nie potrąbiuje! Trzech was tu było, a dwóch nie wiedziało co jeden robi?

— Siemko mówił, że rozkaz ma na murach być, póki nie wrócicie wy. Tym pani do izb isć kazała, bo burza się srożyła zmiatała z wałów.

— On kłamał, a wyście leniuchy spać poszli... Dosty! skończona wasza służba!

— Miłościwa pani się o nas jeszcze przekona!

— Za murami!

Dwaj łucznicy Kruk i Krak ostali oddaleni, resztę załogi trzymał Scibor od tej pory w ciągłej uwadze, noc i dzień rysim wym wzrokiem śledząc każdego poruszenia. Widział on więcej niż Małgorzata o strasznych rzeczach, jakie się działy w kraju i niepokoiły życie wewnętrzne narodu. Nic jej nie mówił, bo żona niczego słuchać nie była w stanie. Błada i smutna siedziała godzinami we dnie ze spleonemi na kolanach rękoma, w nocy zrywała się w przerażeniu i zwolywała do siebie służebne. Ciągłe jej się zdawało, że ktoś nadchodzi, że dobija się do okien i drzwi, że puka w podłogę. Przebyte przerażenia podrażniły ją i rozszarpały na strzępy strachów, przywidzeń, obawę duszę tak dawniej słodką i jednolitą. W taki chorobliwym prawie stanie przeżyła jesień i zimą, a technienia letnie niewielką zmianę przyniosł jej zdrowiu. Tylko wieść od Hanki usunęła jedną z trosk, nurtujących w jej głowie skołanej. Przybył raz pięknie wystrojony giermek.

— Od księżnej Hanki pozdrowienie niosę do was pani.

— Od księżnej?

— A juźci, jak pan księżę, to że księżna.

— A gdzież ci księstwo się gnieździ?

— Oj daleko! czterem konie znuł... het między Pomorzyczkami a Prusakami.

— Aha! to tam się Zdenko pan ogłosił?

— A jakże!

— Dobrzeż żyją? szczęśliwi?

— Czemu nie! księżna tak wyra! wszystkim trzęsie, chciałem powiedzieć, żdzi.

— A jakże mąż dla niej?

— Ona go za łeb trzyma, chciałem powiedzieć, za głowę.

— A dobrze Hanka gospodarzy?

— Oj, aż strach! chciałem powiedzieć—aż miło.

— Dzieci mają?

— Mają córkę, jeno jeszcze nie ożczona.

— A to czemu?

— A, bo księżna chce, żeby jej była Małgosia, a księżę nie i nie! bo powiada, że z jedną Małgosią miał biedę w życiu, bo hardyła okrutnie, to nie chce mieć w córce takiej udnej do osiedlania, chciałem powiedzieć, do chowania dziewczki.

Odprawiła Małgorzata posła z pokami do siostry, z obrazem św. Wojciecha, by krwią swoją granice wiary zakreślił od pory ziemi ojczystej i z prośbą, aby córce dali im Bogiem sławionej Maryi.

Minęła jesień, której się zawsze tej obawiano na zamczku, bo rozhułana w wa okolica dopuścić się mogła jakich znależszych swawoli, a zima zaczynała, wczesna i s, ubrajaając w lśniące lody i wały śnieżne, n ziębo-cińską forteczkę.

Odetchnęła Małgorzata. Wiosny i lęczyły ją powabami przyrody, tajemnym serca przemawiając prądem marzeń i pragnie-

scia, w zimie, pod śniegu powłoką, w samotnej głuszy komnat wpływał w jej duszę chłodny spokój i poddanie się losowi. Przędła całymi nocami przy kominie, do umęczenia i doszła do takiej doskonałości, że żadna z jej służebnic nie umiała jej w cieniutkiej i gładkiej nici dorównać. Czasem schodziła do izb żołnierzy, do lochu, do sklepów gdzie gromadzono sprzęty i zapasy, a doglądając porządku, opowiadała swym ludziom dzieje dawne kraju, jak je słyszała od dziadka i ojca... Wśród strasznie srogiej zimy rzadko wychodziła na mury, jeno przez okno swoje widziała, że dwaj dawni łucznicy nie odstępują zamku i choć wydaleny jako podejrzeni ze służby, objeżdżają mury i czuwają z daleka.

— Sciborze, tyś ich oddalił, a oni pilnują.

— Może szpiegują... to pilnowanie nie podobna mi się. Jużem im podziękował za tę opiekę, a oni dalej swoje, dziś musiałem strzałami zagrozić, jeśli nie ustąpią. Istotnie, po strzałach wypuszczonych z zamku, wieczorem znikli Krak i Kruk..

Noc wietrzna nastąpiła... około północy niespodzianie, gwałtownie, bez widocznej przyczyny, buchnęły straszliwe płomienie koło zbrojowni i w składach żywności. Skoczyła Małgorzata na dół dawać rozkazy ratunku, Scibor już był w robocie, zwijali się pacholcowie z wiadrami wody, ale mróz trzaskający pozamrażał wodę w beczkach i cysternie, źródło mały tylko sączyły strumień... wicher dał i ciskał główniami, dach na baszcie się palił... izby żołnierskie stały w ogniu, żar buhał nie do wytrzymania na dziedzińcu, topił się śnieg i płynął czerwona od łuny struga.

— Scibor! — rzekła Małgorzata, obrzuciwszy okiem położenie rzeczy — basztę tylko ratować, kamienna i za schronienie mi służyć może, zamczek drewniany przepadł już, nie uratujęm, a ja się ztąd nie ruszę na inne mieszkanie, ani krokiem ztąd nie wyjdę... mąż mi twierdzą zostawił, bronić jej będę, przynajmniej basztę ocalę i w ruderze zostanę!..

Scibor słuchał i głową kiwał. Lepszej rady też nie miał. Spłonęły zapasy jak sucha stodoła... myślała w sobie niewiasta—nie będzie czem żywić załogi, rozpuścić ją trzeba będzie... zostac samej ze Sciborem starym... bez odsieczy żadnej... w gruzach... narażonej na napaści zuchwalcze... rozpacz ją porywała... lepiej zgorzeć w gnieździe. Własnymi rękami nosiła wiadra z wodą i zbliżała się do ognia tak blisko, że szaty się osmalały na niej.

— Pani miłościwa, siebie ochraniajcie... na pana pomnijcie... — prosił Scibor, pacholcy za nią biegli, ziemię zlewając przed jej stopami, ale ona narażała się dalej w jakiejś przecuciowej gorączce. W tunulcie zrazu nie spostrzegła, że mnożą się obrońcy... że jacyś ludzie biegną po dziedzińcu i niby ratują sprzęty, a rozrzucają ogień, w drogę wchodzą, niby w pośpiechu rozlewają wodę, trącają się w biegu z pacholkami, którzy upadają pchnięci z jękiem na ziemię...

— Scibor! — krzyknęła.

— Za wiele nas tu! widzę! pod broń pacholki! Chcieli chwycić sługi za brzę i dopadli do lochu, ale tam w progu rozpieął się we drzwiach Mściśław.

— Ha, ha, ha! powiedzcie miłościwej, że jej krwawe swaty obiecałem! Niechże wyjdzie do mnie z chlebem i miodem na powitanie... nie krasawicy taką hardą być... ucięła mi palec serdeczny, ano, znajdzie się jeszcze u drugiej ręki gdzie pierścień założyć! ha, ha, ha!

Małgorzata zrozumiała co się dzieje i błada rzuciła się do progów baszty swojej. Tam jej drogę zastawili dwaj łucznicy. Scibor przypadł.

— A co! zdrójcy! precz ode drzwi!

— Nam kazano ratować miłościwą od płomieni! — rzekli zuchwale.

— Aby ją potem rzucić w inne! — oburzył się Scibor i świsnął mieczem jednemu nad głową tak, że mu się oczy zamroczyły krwią, drugiego płazem odepchnęła Małgorzata i skoczyła na schodki kamiennie wieżycy. Gorąco tam było jak w piekle, bo dach się palił u góry i dym tłumił się między ścianami. Doszła jednak do swej komnaty i tam z okna patrzyła co się działo, dodaj

jąc ochoty swoim. Z zamczku było jeno olbrzymie pogorzelsko, dokoła niego bili się zajadłe obcy ludzie z załogą... ale tędzy pacholcowie, dobrze wyćwiczeni, zaczęli brać przewagę nad gromadą kmieci, chciwszych rabunku niż zwycięstwa. Było ich jednak znacznie więcej, a Mściśław, który dotąd do walki się nie mieszał, skoczył teraz i natarł jak wściekły. Kilku chłopów padło przez chwilę.

— Scibor! — krzyknęła Małgorzata z okna — basztę podpalić! natychmiast!

— Pani miłościwa! co mówicie?

— Ja każę! nie ma czasu do stracenia! Zbiegła pani do niższej komnaty, widząc że się Scibor nie śpieszy, i tam sił natężeniem wysunęła ze spiżarni beczkę oliwy, drugą smoły płynnej i łać zaczęła dokoła wieżycy. Ogień nie czekał na Scibora, latające głównie zapaliły palny żywioł i baszta stanęła w czerwonych płomieniach.

Scibor ręce zalał:

— Bohaterko ty! coś uczyniła!

Mściśław ryknął z rozpacz, o ratunku nie było mowy, bo niewiasta drzwi na dole za sobą zamknęła, po gładkich ścianach pięły się ogniste języki, szarfy płomienne, strugi ognia... Pięści zacisnął namiętny ten człowiek, szukający wkrwawem weselu jeno tej jednej umiłowanej krasawicy, która mu się tam paliła jak na stosie... głowę podniósł do góry i jak konający tur jęknął aż powietrze zadrżało, aż ludzie się bić przestali na dziedzińcu, a potem jednym dzikim skokiem rzucił się w pogorzelsko na oslep, na śmierć:

— Nie żyć mi bez ciebie, ty przekłeta, najśłodsza czarownico! w płomieniach żyłem przez ciebie i zginę w ogniu, razem zginieemy!

Żar go pochłonał, ludzie w zdumieniu opuścili ręce... jak to? zemścić się i potem ginąć samemu? to było po nad zwykłą miarę ludzkich namiętności... jego towarzysze zrozumieć go nie mogli... tkwił w nim jakiś rycerski pierwiastek, jeno oszalał przez złe żądze... Rzucono się w ogień i wyciągnięto już konającego... Na ziemi leżąc, oczy ku baszcie obrócił... I tam ogień już przygasał... a wewnątrz—co?

— Niech mi się ona przed śmiercią pokaże... — prosił umierający Scibora—nie skonał bez niej... przedzej...

— Pani nasza! Pani miłościwa! gdzie wy? — krzyczał, łkając, stary sługa. W środkowym oknie ukazała się głowa z opalonymi całkiem włosami, jak obłąkana.

— Przebacz mi — krzyknął Mściśław sił ostatkiem — ałem miłował — ach...

Drobna, osmalona, czarna i czerwona ręka wyciągnęła się w powietrzu i znikła. Mściśław skonał, rozpierzchnęła się jego zgraja, roznosząc po siolach wieść tajemniczą o czarownicy, która się nikomu wziąć nie da, dla której w ogień najzuchwalsi mężczyźni skaczą, która się sama w baszcie podpaliła, a zginąć nie mogła, bo jej się ogień nie imał, w której dziwne siedzą moce, z jakimi ludziom nie walczyć...

Paru pacholców ruszyło w świat z resztą uratowanego oręża, bo im się naprzykrzyła służba w ciągłych niepokojach czasów ostatnich. Obiecywali iść do pana z wieścią, ale to była wymówka.

Scibor złamany, znękany, ranny kilka razy, opadł z sił całkiem i jak pies wierny położył się na progu dolnych drzwi baszty... oczy mu się przymknęły i głowa opadła bezwładnie... Śnieg zaczął sypać gęsty, wolny, wiatr ustał, a w różowem półświecie zorzy porannej latały wielkie, głodne, czarne wrony i z przeraźliwym krzykiem spadały stadami na łup...

IV.

Na pobojuwisku.

Król Śmiały po swoim powrocie jął się przywracać porządek, karał zdradę i zbiegostwo, a potem ujął się za biednym gminem, nad którym znów przez zemstę zanadto się rozhułalo rycerstwo.

Był już ranek widny, choć nieco mglisty, gdy ścieżyną ku sobie między Wawelem a Skalką zbliżało się dwóch ludzi... Zobaczyli się z daleka, przystanęli, i poszli naprzód, wołając się spotkać widocznie niż unikać. Od katedry szedł do swej ulubionej Skalki, w codziennej sutannie biskupa, z bladą twarzą, przeczystymi, surowymi, przenikliwymi oczami mierząc wprost w oblicze nadchodzącego człowieka. Człowiek miał na sobie proste ubranie żołnierza, zwykły hełm żelazny, tylko z pod ciemnego płaszcza błyskał piękny, drogi sadzony miecz. Równocześnie zdjęli przed sobą hełm i kapelusz i przystanęli. Ścieżka była wąziutka, po dwóch stronach falowało zboże i trawa. Biskup kiwał smutnie głową.

— Co się stało?—pytał niespokojnie Bolesław.

— To co się stać miało... wszakże już wracasz z nocnej wyprawy... mój synu! —dodał rozpaczliwie ksiądz.

— Ah! czemu ta wieczna troska o moją duszę! Bóg mnie sądzić będzie! Tyle macie, pasterzu owieczek, gonicie wciąż za jedną!

W przejeździe przez piękną okolicę, zdobną w dąbrowy i malownicze wzgórza, ujrzał pasterz wyniosłą basztę białą, stojącą wśród ruin, oplecioną w bluszcze, chmiele, powoje, bez dachu, z okienkami w szczerbach, ale widną z daleka oczom przechodnia. Pytał kmiecia, który szedł przy kolebce:

— Co to jest za wieża?

— A, to długa opowieść... wiele lat temu rycerz żonę tu przywiózł piękną i młodą... sam na wojnę pojechał... nie wrócił... napastowali ją ludzie, aby za męża drugi raz szła, ale ona w wierności wytrwała... zamek jej spalili przez zemstę... w baszcie została i żyje dotąd jako pustelnica—jeno modli się i przedzie dniami, nocami i chłopskie dzieci ubiera w koszulki... ludzie mówią, że czarownica to, bo dziwną moc jakąś ma w sobie... nie spaliła się w pożarze... nie ginie z głodu, choć mało co je, tyle co jej stary sługa uźbrze... lub wiejskie kobiety przyniosą i na progu położą... siostrę miała w okolicy, ale ta się z mężem w czasie ruchów i niepokoju wyniosła kędyś daleko...

— Jakże na imię tej niewieście?

— Małgorzata.

— A zameczek?

— Ziębocin.

Zamyślił się biskup, coś sobie przypominał, ale dobrych nie miał dla tej baszty wieści, bo Mikołaja nie było między rycerzami, którzy na koronację zjeżdżali. Przystanął jeno rozkazał... podniósł się w kolebce i wielkie, powolne, uroczyste błogosławieństwo uczynił w powietrzu nad tą samotną białą basztą...

Widziała je niewiasta zokienka, przyjęła i otucha jakaś błoga wstąpiła w jej serce. Już orszak zniknął za wzgórzami, już pociemniało na dworze i księżyc oblewał zaczął ruiny i wały trawą zarosnięte, a ona jeszcze stała w oknie i patrzyła w przestrzeń...

Inna znów była niż dawniej; odbiegła ją już i ta księżycowa uroda, w której dawna słoneczna stopniała; dziś była cała przejęta jakby gwiazdowym, lekkim światłem, migotliwym, w głębokich oczach drgającym, ociągającym się na śnieżnym czole. Wysmukła, szczupła, jakby wyrosła, wyglądała raczej jak duch, niż jak ziemską istotą... Wszelkie też ziemskie warunki odpadły od niej... runął zamek w popiele, odstąpili słudzy, zapomnieli ludzie, umilkły namiętności, które ją ściagały, oddaliła się rodzina, zacierały się jej dzieje w pamięci okolicznej, gdzie nowi osiedli ludzie, nie troszcząc się o historię rudery, która zapadała w mrok legendowych wieści, ściągając zaledwie uwagę wędrowca... Na wałach bawiły się dzieci małe z wiosną w odzieży ręką Małgorzaty uprzedzonej, jak stado białych baranków skacząc przez ziola i grzyby, przynosząc czasem białej pani, jak ją nazywały, dzbanuszek mleka z domu lub króbeczkę jagód.

Na progu siedział siwy stary sługa i na głos pani prostował się po żołniersku, ale ona mu już niedawała rozkazów, jeno łagodnie mówiła „proszę“, co go czasem gniewało. W dni, kiedy musiał iść do siola jedzenia uprosić, wrzał gniewem na drapiejących przywłaszczycieli, którzy

się w pański majątek wdarli i grozili jej strasznie, jeśli się upomnieć u króla odważy. Ona też wołała spokój niż zatargi z ludźmi, z którymi dość przeszła już w życiu. Gdy Ścibor wracał, mówiła doń:

— Przepraszam cię, żebrać na mnie musisz, ale Pan ci to nagrodi kiedyś...—i podnosiła oczy ku niebu wielkie, błękitne, uważne, a sługa nie wiedział o jakim panu mówiła, o tym co w niebiosach, czy o tym, który... nie wracał... nie wrócił... Bo on już zwątpił zupełnie... Niecierpliwił się też widokiem swej pani. Dni całe nie rzekła słowa... klęczała z głową opartą o okno i w piersi się biła... A czasem wlepiwszy oczy w błękit niebios, nie słyszała nawet, jak do niej mówił, i uśmiechała się, choć na niebie nic wesołego nie było. Potrzebowała co raz mniej... kawałek chleba zsycał się nastole, mleko kwaśniało w dzbanusku, owoce więdły na liściach... Czasem ożywiała się na godzin parę i pytała ciekawie:

— Ścibor, czy też ty wszystko dobrze pamiętasz, jak, co, kiedy, było... żebyś mógł opowiedzieć...

— Nie ja będę opowiadał! — mruczał niecierpliwie.

Raz znów kazała w najniższej komnacie baszty dół kopać, gruzami wysłać.

— Tam, na końcu mieszkać będę, — rozkazała tym razem.

— Pókiś pani miała zamek i żołnierza moc, dobraś była, teraz masz jeno basztę, żebraka do usługi, a sroga się robisz, okrutna!

— I ty się buntujesz? — łagodziła go z uśmiechem.

Odchodził chmurny jęcząc do siebie:

— W oczach mi się na śmierć gotuje! sama już dusza w niej, odleci kiedy, ani się obejrzę! — I zaczynał do siebie wyrzekać na pana, jeśli żyw, to nie wart takiej żony, pani, rycerki, bohaterki, pustelnicy, świętej! Poczciwy człek łzami się zalewał.

Nie wiedział on jakie walki wewnętrzne ona przechodziła teraz. Ośm lat upływało od dnia, w którym do tej baszty weszła po raz pierwszy. Była wtedy młodzieńką dziewczyną ośmnastoletnią, dziś była kobietą dojrzałą, doświadczoną, przetrwoną w cierpieniach i szeregu nadzwyczajnych wypadków...

Dawna jednolitość jej duszy oparta na słodyczy i ufności, poszarpana później przez lata różnych wzruszeń i zawodów, zaczynała teraz łączyć znów jej istotę wewnętrzną na prawach usilnej, podniosłej walki ze sobą samą w całość szlachetną, nadprzyrodzenie piękną i niezwykłą. Chciała się niewiasta podnieść nad to ziemskie życie, aby spokojnie, bez pokus i żalów myśleć o zaświatowym połączeniu się z mężem, który może istotnie już nie żył... Więc karciała siebie, doświadczała, byle podbić swą ziemską istotę pod panowanie nieśmiertelnej. Ale na powierzchni jej silnej woli wydzierały się od czasu do czasu gnębione lecz nie dające się ujarzmić całkowicie żywioły... Raz była to myśl wpadająca w alarmy niepokoju o ukochanego, dobijającego się przyczyną i sprawiedliwości takich cierpień, stawiająca logicznie przed oczy młodej kobiecie, że ten stan powolnego torturowania się może trwać jeszcze lat dziesiątki... Zniechęcenie przychodziło w pomoc i ciężkie godziny jak krople rozpalonego ołowiu kapąły w duszę zniecierpliwioną... Kiedy indziej zrywało się serce, spragnione miłości, dobroci, podziału uczuć, ukojenia, wynurzeń, a milczeć musiało, zastygając i drętwieć. To znów wyobraźnia podrażniła zmysły w jednostajności niby zmartwiałe a budzące się niekiedy gwałtownie pod przelotnym dotknięciem jakiego wspomnienia pieszczoty, uśmiechu, spojrzenia męzowskiego... Szybki tuman wznosił się w głowie niewiasty, zawirował, odurzył, potem opadał i popielał; i tak myśli, uczucia, namiętności, wspomnienia i żądze, wszystko dookoła tej duszy leżało w ruinie jak zaczarowany zamek w baśni, a dusza stała jak baszta samotna i biała, broniąca się jeszcze do ostatka niewidzialnym swym obleżeniem. W chwilach próby klękała i ręce splecione opierała o framugę okna i w piersi się biła Małgorzata, a poczci-

wy Ścibor nie domyślał się nawet jakie bolesne jeszcze odnosiła zwycięstwa na tem pobojowisku lat tylu, spędzonych, w walce i rozterkach ze światem i z sobą. I najniewinniej w świecie, sam ją nieraz wytręcał ze spokoju. Raz przyniósł wiązankę bławatków, które jej przypominały dom ojca, młodzieńczą miłość Zdenka i szczęśliwe chwile dawnych wiosen. Raz kilka róż świeżych położył na oknie, które ją rozmarzały i udrećzały noc całą, innego dnia krzak cały malin z gaju przyniosłaby sama sobie oberwała, a ona aż się rozplakała nad tem przypomnieniem lasu i swobodny. Kiedyś motyl wleciał i siadł jej na palcach... patrzyła zdziwiona na śliczne stworzenie z tęczowymi skrzydłami, bo zapomniała już dawno jak motyle wyglądają i że są na świecie... Kiedyś pszczoła wpadła do izby i zbudziła w głowie Małgorzaty obraz daleki... gdy przy uczcie ślubnej czarce z miodem od ust odjęła, a mąż wziął ją z jej ręki i do dnia wychylił... Rozejrzała się po tej komnacie gdzie brało dziś wszystkiego, nawet wygodnego łóżka... Jeno długa ława stała pod ścianą futrem okryta, jeno misa i dzban, i stolik i stołków parę... i szat parę płóciennych wiszących na ścianie... i tylko miecz długi i hełmik złoty świeciły w posępnej tej celi pustelnicy...

Aż jednej noc, gdy księżyc oblewał światła powodzią szare mury baszty, a Małgorzata stała przy oknie uspokojona w sobie, korna, zdało się bezpieczna, sporzeniem wiodąc po dolinie, kędy jej ongi zamajęczała złowroga plamka, z której poseł królewski się wynurzył i męża jej zabrał, znów zniemacka, silniej niż zwykle, prąd przeczuć ją owładnął i jakby dziś, czuła w piersiach swoich, w sercu, na ustach krzyk przeraźliwy; — nie dam cię tyś mój, nie dam! Patrzyła dalej w dolinę i widziała ową plamkę chwiejącą się, rosnącą w obrzymie kształty wielkoluda, to drobniejszą w proszek ledwie widzialny, jako ten stan wewnętrzny jej ducha, który był raz jej tyranem, raz sługą... Noc przelamywać się zaczęła, księżyc blednął, a mgła wchłaniała w siebie różowawe smugi budzące się na wschodzie... zmęczyła Małgorzatę ta noc, która jej tak na nowo z pamięci męża wzięła... nie odstępowwała jednak niewiasta od okna i dziwiło ją to, że w dolinie owa plamka biała ruszała się dalej, pomimo rozpięchających się złudzeń miesiecznych światła i cieni... Rosta istotnie w kształt konia i jeźdźcy a sunęła szybko między zieloną ścianą dąbrowy a falistą linją wzgórz... za jednym z nich znikła, lecz po chwili wynurzyła się znów na zakręcie do dawnych wałów zamkowych... Rycerz to jakiś był, który spieszył na koronację królewską... Małgorzata westchnęła. Rycerz czy drogi nie znał, czy był zmęczony, oglądał się, zsiadł z konia i szedł odpoczywać na wałach, na murawie, jak to było zwyczajem podróżnych... usiadł gdzieś w cieniu, bo go z oczu straciła... a wzrok jej znalazł w dolinie kilku innych zbrojnych ciągnących w tę samą stronę... Złożyła ręce na piersiach, bo w sercu ją jeszcze paliły słowa: „Tyś mój... nie dam cię... nie dam...“

Drzwiczki skrzypnęły. Niewiasta bardzo powoli, jakby we śnie, odwróciła do wnętrza komnaty twarz swoją, śmiertelnie bladą:

— Mikołaju!!

Staniającą się niewiastę pochwycił rycerz zanim upadła na podłogę i jak szalencie krzyczał, aż grzmiało po ścianie izby:

— Małgosiu! Małgosiu! Małgosiu! Małgosiu!

Zaniósł ją do ławy, usiadł przy niej, przygarbił do piersi z sił całych i patrzył, patrzył, oczy zatopił w jej twarzy, w jej oczach zamkniętych, w jej ustach bez słowa, rozchylonych jeszcze jego imieniem.

Ona nie śmiała unieść powiek, nie wierząc prawie w rzeczywistość tego szczęścia, że go czuje przy sobie, że słyszy ten głos gromki, potężny zawsze, z odcieniem znużenia i smutku, że czuje uścisk ciepłej ręki, oddech żywego człowieka, a nie złudnej mocy, pocałunki, które nie były wspomnieniem, słowa, które nie były marnym przywidzeniem, że nie jest sama, nie sama... jeno z nim! I naraz otworzyła swe oczy

błękitne, gorączkowo uważne i szlochać zaczęła.

— Nie dam cię, tyś mój, nie dam cię!

— Żaden król, żadna moc, żadna siła już nie ma prawa do mnie, jam twój, bohaterko moja, wiem już wszystko prawie... płacz sobie teraz jak dziecię, ty coś opanowała siebie przy pożegnaniu, coś wojowała ze sobą tak długo, a teraz takas jak duch chwiejna, bledziutka, Małgosia moja! co?

— Oj dobrze mi, dobrze... — Przymknęła znów oczy i niewiedziała kiedy usnęła głęboko, bezwiednie, jak kamień. I Mikołaj się zdrzemnął. Jak dwa ptaki, zbite długą wędrówką przysiadają na gałęzi i wetkną skołataną głowę pod skrzydła i usną, tak oni oboje siedząc tuż przy sobie, na tej twardej ławie, zapadli w odrętwienie znużenia, złamani przebyłym czasem cierpień i druzgocąją niemal radością powitania.

Tak ich zastał Scibor, który kędys za jagodami i mlekiem chodził po wiosce. Otworzył drzwi i ryknął tak, że się obudzili oboje.

— Wszelki duch!

— Czego wrzeszczysz, stary! — rzekł Mikołaj z uśmiechem do sługi, który sprawdzał okiem nieufnym tożsamość pana swojego.

— Toż pan miłościwy? — mruknął niedowierzająco.

— Scibor! — wołała Małgosia, — majaczysz! patrz-że na mnie, jak mi to dobrze teraz! — I głowę przycisnęła do męża. Sługa stał markotny. — Dziwakul! — wybuchnęła ze śmiechem kobieta — a witajże się z panem! — Scibor mruknął:

— Et, czemu to pan u nóg jej nie leży, na ziemi, stopy całuje, łzami oblewa... takby przystało!

— Słuszność ma! on mnie zawsze rozumu uczył! — rzekł rycerz wesoło i opadł do stóp swej żony; teraz dopiero Scibor runął obok niego i trząsł się od łez...

Małgorzata promieniała wszystkimi światłami swych uczuć, gwiazdzista w oczach, księżycowa jeszcze na licu, słoneczna już na czole. Dni parę zeszło na długich rozmowach w baszcie, na cudownych uniesieniach radości. Mikołaj po ciężkich też był przeprawach, niepokojach, trudach, fałszywych wieściach jakie go dochodziły; trzymał się jednak mężnie, lecz wąż mu całkiem posiwiał, włos przetarł się na głowie od dźwiganego ciągle żelaza, a przebyte wojny, utarczki, wędrówki i długie próby na Czerwieńskich grodach, pogłębiły mu zmarszczkę między oczami i bruzdy na twarzy. Pod ręką jednak Małgosi gładziło mu się czoło a oczy wzbierały dawnym, pogodnym, serdecznym wejrzeniem. Ruszyli wnet oboje, zbrojni już tylko dla zwyczaju, na dobrych koniach, ze Sciborem i kilku żołnierzami do Krakowa. Zamek się miał z przyszłą wiosną odbudowywać, oni oboje potrzebowali długiego, bezpiecznego odpoczynienia.

Z okna jednego domostwa w rynku patrzyła na niego Małgorzata. Gdy rycerz się oddalił, biskup jął żywo z królem rozmawiać, a Śmiały błyskał oczami z zapalem i pytał, ciekawie pytał:

— Gdzież ona jest! ta niewiasta! — wybuchnął.

— Jest z mężem w Krakowie, w ruinach nie mógł jej zostawić i jużby się też rozstać nie mogli.

— Biskupie! widzieć ją chcę! warta mej pochwały wobec wszystkich jak tu są zebrani!

— Warta, — rzekł biskup, — aby ją kronikarz wraz z największymi rycerzami wśród księgi swej umieścił na wieczne czasy.

— Niechaj stanie przed nami! — Rozkaz królewski przeleciał szeregi, uderzył radośnie w Mikołaja, który podążył za swoją małżonką.

— Król chce cię widzieć!

— Oh! co mówisz! gdzież mnie tam isé, między rycerstwo i tłumy...

— Rozkaz ukoronowanego! musisz przed tron isé! Małgosia moja! — śmiał się w radosnej dumie rycerz.

Za rękę ją wiódł, potem między szeregi dygnitarzy posunął z lekka i puścił dalej samą.

Szła prosto, w białej szacie, w płaszczu czarnych swych włosów, niezmięszana a skromna, blada lecz spokojna, piękna jak z baśni wyrwa-

na. Król poruszył się zachwycony, gdy stanęła ustóp tronu, wyniosła, przejmująca swą wdzięczną powagą.

— Wyście to jest Małgorzata z Ziębocina?

— Tak, miłościwy królu.

— Cóż tobie, niewiasto, dodało mocy do przetrwania lat tyle w niebezpieczeństwie, w takich ciężkich walkach?

— Słubna przysięga.

— Czulaś, że mąż twój wróci?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Jakżeś to czuć mogła, na Boga?

— Miłowałam go, — rzekła z prostotą.

— Skądżeś ty wzięła, ty młoda i sama, w takich ciężkich czasach, tyle przytomności umysłu, wielkoduszności, cnoty, odwagi?

— Bóg miłosierny... a jam córka i żona rycerzy.

— Rycerka ty jesteś, jakiej jeszcze oczy nasze, a czasy żadne nie oglądały! Zbliź się! — zawołał król w zapale i gdy niewiasta u stóp tronu przykłęka, trzy razy dotknął jej ramienia mieczem, potem wziął pas z ręki pełniącego służbę rycerza i ozdobił nim kłęzącą a potem rękę swoją jej podał i podniósł i gdy stanęła zapłoniona od tego zaszczytu jaki dotąd żadna nie spotkała kobietę, wyrzekł doniosłym głosem:

— Małgorzato z Ziębocina! cnotę twoją nagrodzi Bóg, wierność twoją małżeńską uczci i wywdzięczy tobie mąż, bohaterstwo twoje nagrodzić musiałem ja, król, na rycerkę cię naszą pasując.

— Królu! — rzekła wzruszona Małgorzata i pokłon mu rycerski oddała.

Mąż stał tuż przy niej... na piersiach jego ukryła głowę i purpurą swego tryumfu na licach. Rozstąpiły im się szeregi bez pomocy nawet zapłakanego z radości Scibora.

— Do domu... — prosiła rycerka, — do domu...

— Tak jedyna, do domu... moja Małgosia, Małgosia... Małgosia...

K O N I E C .

BŁOGOSŁAWIENI!

Błogosławieni, którzy wiary
Nie zatracili w boju życia,

I zawsze natchnień, marzeń czary,
I wulkanicznych wlotów żary
W piersiach swych noszą od powicia.

Błogosławieni, którym skronie
Pogody aureola wieńczy,
I w których sercach, duszach, łonie,
Nieogarniony wiecznie płonie
Zachwytów, szczęścia znicz młodzieńczy.

I tak jak wzbija się z ołtarzy
Błogość, gdy płynie hymn kadzidel;
Taki im zachwyt gra na twarzy,
Gdy stoją czysci tak na straży,
Jako aniołów rój bez skrzydeł.

I spokój, słodycz nimi włada,
Jak uśmiech słońca wśród oazy, —
Szept jakiś na świat cichy spada,
Echo mu drzeniem odpowiada:
„Błogosławieni stokroć razy!”

Jożef Wiśniowski.

Jaśło.

P Y Ł .

NOVELLA.

(Dokończenie).

Doktor Życki siadł naprzeciwko kanapy i zaczął się śmiać.

— Władek, Władek, powiadam ci, żeś ty stworzony na ojca! Bój się Boga, żeń się i nie marnuj takich zdolności!

Pani Irenka pobiegła do kuchni.

Chwilę później siedzieli w sześcioro przy stole. A pan Władysław coraz był bardziej zły na siebie.

— Co u licha! od ośmiu lat, odkąd się Staś ożenił, na wigilię do niego chodzi, przy jednym stole z rodziną jego zasiada, i zawsze było dobrze! Co mu znów dzisiaj przyszło? Przecie oni tacy szczęśliwi już oddawna, i on oddawna na to szczęście patrzy. Czasami, tam gdzieś głęboko uczuł żal, że jego życie nie takie, ale mu ten żal nie jechał tak w gardło, jak dziś!

Co się pani Irenka roześmieje do którego z dzieci i, patrząc przez stół na nie, powie: „Moje, moje malutkie, no już zaraz, już zaraz wstaniemy!” — i ustami w powietrzu je całuje, to mu się coś rozsiada ciężarem na piersiach.

— Ira, a wiesz ty, że mnie Władek przeciwko tobie buntował wczoraj wieczór, jakeśmy łazili razem po mieście, — zaczął młody doktor, gładząc pieścotliwie rękę żony na stole opartą.

— Pan Władysław?! — zawołała ona i zwróciła ku niemu swą czarną główkę. — Pan Władysław? Ej, nie wierzę! Pan Władysław nie chciałby mojej krzywdy!

I patrzyła mu prosto w oczy, szczerze, ufnie.

— Dalibóg, Ira, tak buntował! „A to jej nie mów! po co masz zaraz mówić?” Słowo ci daję, tak mi doradził!

Pani Irenka zaczęła głową kiwać z prawej strony na lewą.

— No, no, no A ja myślałam, że to taki przyjaciel!

— A przyjaciel, przyjaciel! — jakoś bardzo przywczó zawołał pan Władysław, ale się wnet zahamował i tylko dodał: — Staś nie umie trzymać języka za zębami i tak mu pilno powiedzieć, jaki prezent dla pani przygotował. Bo to była właśnie przyczyna buntowania go. On strasznie skąpy ten Stasiak! — już z zupełną swobodą ciągnął dalej.

A pani Irenka popatrzyła z wielką miłością na męża.

— On nie skąpy, panie Władysławie, tylko wie, że ja go kocham nie za to, co daje mnie, ale za to, co robi innym. Bo to, widzi pan, — mówiła dalej z takim ożywieniem, że aż zaróżowiła jej się twarz, — taki prezent, co jest rzeczą jakąś, to ucieszy oczy tylko i kochania wcale nie powiększy! Ale gdy mój Stasiak coś zagnego zrobi, a pan wie, że on ma dużo do tego sposobności, chociaż często czasu, a nieraz i ochoty nie wiele i, zrobiwszy to, przyjdzie później do mnie i powie:

— Ira pocałuj i podziękuj, bo to było dla ciebie, — to wtedy, panie, taki prezent ogromnie ucieszy, i robi się w duszy tak ciepło, A on mi już dziś dał taki podarek! Mój Stasiak, mój Stasiak!

I podniosła się i zaczęła męża po twarzy całować.

— Władek, żeń się, bo pójde o gruby zakład, że ci teraz zazdrość! — śmiał się doktor, garnąc żonę do siebie.

A pani Irenka jakimś kobiecym instynktem wiedzona zaprzestała pieścizoty, usiadła na swem miejscu i kiwnęła na małą Zosię.

Malutka wnet przybiegła. Wtedy matka wzięła ją na kolana i powiedziała, aby rączkę wsunęła pod obrus i tam w sianku poszukała jakiego kłosa, bo to będzie dla pana Władzia.

— Ale z kwiatkiem, Zochno, — powtarzała dziecku, kiedy rączką grzebało pod białym obru-

sem,—koniecznie z kwiatkiem, bo wtedy twój chrzestny tutus ożeni się nie długo!

A Zosia wodziła rączką po stole przewracała napotkane kieliszki, potrząsała talerze i chichotała, uszczęśliwiona. Nagle zawołała:

— Jus mam, mamusiu, jus mam!!

I z wielkim tryumfem w błyszczących oczkach patrząc na matkę, wydobyła rączkę na wierzch. Między paluszkami ciągnęły się zeschnięte trawki siana, ale w dłoni ścisnęła mocno nadłamaną lodygę, u końca której wisiał zciemniały kwiatek konieczyzny.

— A! dobry znak! winszujemy!—wołali oboje Życy.

Poweselał jakoś i pan Władysław, Zosię ucałował i z kolan matki zabrał na swoje.

Wieczera była skończona, więc doktor skorzystał z rozbawienia dzieci i niepostrzeżenie wymknął się z pokoju. Poszedł do bawialni, pozapalał świeczki u choinki zaczął dzwonić gwałtownie.

Dzieci z wielkim impetem wpadły do pokoju. Dwoje starszych rzuciło się ku porozkładanym pod drzewkiem zabawkom, a mała Zosia, olśniona widokiem płonącej choinki, zatrzymała się u drzwi.

Matka wzięła ją za rękę i prowadziła ku przygotowanemu dla niej podarkom.

— No, a teraz my starsi poszukajmy czegoś dla siebie—zawołała pani Irenka. — Panie Władysławie, proszę popatrzeć, gwiazdka o wszystkich pamiętała.

Poszli więc we troje do stolika, co stał opodal choinki.

— Mój Staśku, jak można było!! — zawołała z oburzeniem młoda kobieta na widok rozłożonego wachlarza.

— To nie ja! to on! Ode mnie masz tę sznelę! Czekaj, zobaczę, czy ci w niej będzie do twarzy! — i zarzucił na głowę żony ponsowy szal.

Ona ucałowała męża i wnet zwróciła się, trzymając otwarty wachlarz, do pana Władysława.

— Ej panie, panie, jak to można, jak to można!

A on wziął jej rękę i powiedział trochę zmieszany:

— Przepraszam, moja droga pani... że śmiałem takie głupstwo... ale...—i nie dokończył, tylko ją w rękę pocałował.

Jej twarz spoważniała i jakby posmutniała nagle.

— Ja panu bardzo dziękuję, bo wiem, że to z życzliwości dla nas, ale, widzi pan, jak jeden człowiek ma taką rzecz zbytku, to tam pewnie kilku innym ludziom najpotrzebniejszego brak.

Pan Stanisław śmiać się począł.

— Ta kobieta to się nie wyleczy z socjalizmu!

Osiem lat pracuję nad nią, — i wszystko na nie!

A ona spojrzała na męża figlarnie i powiedziała:

— A kiedyś ty z tego rad...

— I z tego i z tych pantofli, któreś mi wyhaftowała. Pewnie masz ochotę, abym w nie cały wlaż! — mówił mąż, oglądając swój podarek.

— Oh nie! och nie! — oburzyła się.

Pan Władysław stanął przy niej.

— To to, proszę pani, dla mnie ta jedwabna chusteczka?

— A dla pana, do fraka, na karnawał.

— Gdzie jabym ją tam profanował na balach — odrzucił, całując rękę doktorowej.

— To niech pan jej zrobi zaszczyt i weźmie ją do ślubu!

W tej chwili ktoś zadzwonił. Przysłano po doktora do chorego. Zmartwiła się pani Irenka, że jej Staśka nawet w taki dzień zabierają. On zaś szybko wyszedł do przedpokoju, włożył futro i zawołał:

— Ira, pewnie wrócę niedługo, w przeciwnym razie dałbym ci znać. Do widzenia, Władek!

I poszedł.

Pani Irenka opuściła na chwilę bawialnię, pan Władysław usiadł na fotelu, nogę na nogę założył, głowę spuścił i patrzył z pod brwi na dzieci, bawiące się pod choinką.

— Jaki ja byłem głupi — myślał — żem się tak cieszył z tej dzisiejszej wigilii; jeszcze wyraźniej widzę teraz, że mam niesłychanie jałowe życie. A oni!... Żeby to tak człowiek choćby na chwilę

w które z nich wlaż i poczuł to, co oni czują! Bo to pewnie bajeczne szczęście.

I zaczął sobie wyobrażać.

Przepięli mu się jakąś błogością piersi, aż podniósł je wysoko i pomyślał:

— To musi być jednak takie ogromnie szerokie, że się pewnie nie mieści w człowieku i aż na zewnątrz go otacza, a on sobie chodzi w tem jak w powietrzu i tem oddycha...

Do saloniku weszła pani Irenka, przewiązana ponsowym fartuszkim, którego rogi w dłoni trzymała, bo coś w nim miała i rzekła:

— Dzieci, chodźcie do kuchni, już przyszły tamte dzieci!

Porwały się maleństwa z ziemi i przyleciały do matki. Ta wzięła znów Zosię na ręce i zwróciła się do pana Władysława:

— Pójdzie pan z nami do kuchni? Są tam dzieci z sutereny, przyszły po prezenty. Niech pan pójdzie!

I skierowała się ku drzwiom, a on szedł za nią i patrzył, jak ją Anusia wpół objęła i coś mówiła, podnosząc ku jej twarzy błękitne oczka.

— Jaka z niej śliczna mamusia! Ach ten Stasiu! — pomyślał pan Władysław i przygarbił do siebie idącego obok Jasia, bo nagle uczył gwałtowną tego potrzebę.

W kuchni czekała gromadka dzieci: małe, większe i takie jak Zosia, co od niedawna na nogach stały. Pani Irenka przysiadła obok nich na kuchennym zydelku i rozłożyła szeroko oba końce fartuszka, a Jaś i Anusia zaczęły wyjmować znajdujące się w nim przedmioty i podawali je dzieciom.

Anusia z przejęciem czynność swą pełniła.

— Oto pończoszki dla każdej, te czerwone to ja sama robiłam! — i biegła od jednej dziewczynki do drugiej i wracała do fartuszka matki.

A Jaś znów wsypywał do kieszonek dzieci orzechy, jabłka, pierniki i uważał, by któremu nie dać za mało.

Zosia z początku dosyć obojętnie przypatrywała się całej tej czynności, ale spostrzegłszy opodal dwuletnie bobo, potoczyła się ku niemu, stanęła i wzięwszy je za obie rączki, zaczęła mu się przyglądać.

— Lala! mamusiu! — i zwróciła oczka na matkę.

— A lala, lala, pocałuj!

Zosia wspięła się na paluszki i objęła dziecko za szyję, pocałowała, a potem zaczęła, patrząc na jego ciemną sukienkę.

— A ja mam faltusiet! — i gładziła się rączkami po białym fartuszk.

Matka spojrzała bystro na swoją najmłodszą i rzekła:

— Lala biedna, nie ma fartuszka!

— A ozechy ma lala — powtórzyła Zosia, bujając się na piętach i wystawiwszy naprzód brzuszek.

— Orzechy ma, a fartuszka nie ma — odezwała się znów matka, nie spuszczać wzroku z twarzy dziecka.

— A faltusista nie ma...

— Biedna lala — smutno odezwała się pani Irenka...

A Zosia obiema rączkami wzięła się nagle za fartuszek i zaczęła go od siebie odciągać.

— Daj, mamusiu, lali faltusiet!

Zaróżowała się od radości twarz pani Irenki i czarne jej źrenice rozbłysły, wstała z zydelka i wzięła Zosię za rękę.

— Chodź, wyjmemy z komody inny fartuszek, tamten będzie lepszy dla lali.

Pan Władysław patrzył na to wszystko, jak się patrzy na widok jakiś, co się przed naszym wzrokiem roztacza; źrenice czują go tuż przed sobą, ale dusza wie, że on daleko.

Kiedy w chwilę później przechodził obok pani Ireny jadalnie, wracając do sali, zaczął.

— Wie pani, że ja niczego podobnego w życiu nie widziałem! Zkąd pani takie chrześcijaństwo do głowy przychodzi?!

A ona na to odpowiedziała, śmiejąc się.

— Takie chrześcijaństwo odbywa się u nas co roku po wigilii, tylko pan o niem nie wie, bo zwykle gracie sobie z rodzicami i ze Staśkiem w winta.

— Prawda. To dobrze, że teraz nie gramy w winta — odpowiedział i siadł obok niej na kanapie.

Przez chwilę patrzył gdzieś przed siebie, a potem rzekł:

— Niech mi pani powie szczerze, czy pani to robi przez swoją dobroć, czy przez swoje szczęście?

A ona odpowiedziała prawie bez namysłu.

— Trzeba dzieci uczyć miłosierdzia; ja to dla tego robię.

— Trzeba dzieci uczyć miłosierdzia... — powtórzył pan Władysław. To jest bardzo proste, tylko że to, widzi pani, nie każdemu do głowy przychodzi.

Ona ożywiła się bo rozmowa potrąciła o jej czułą strunę.

— Ja panu powiem szczerze. Mnie się zdaje, że jak Pan Bóg da komu takie wielkie szczęście jak dzieci, to Mu tylko ich anielstwem zdoła się wdzięczność okazać...

I pogłębił się wyraz jej oczów, kiedy dodała.

— Jabym chciała, aby one wróciły do Niego jak święte. I dla tego staram się każdym postępkim moim ułatwić im zdobycie tej świętości.

Milczeli chwilę, aż raptem pan Władysław zawołał.

— Pani niesłychane rzeczy mówi! Ja zawsze cenilem panią ogromnie i wiedziałem, że pani jest bardzo zacna; ale, doprawdy, nie domyślałem się nawet, żeby pani tak wysoko nosiła swoją duszę.

Wstał i zaczął chodzić po salonie; od słów tej kobiety coś jakby mu zadręgało w sercu.

A ona w zamyśleniu mówiła półgłosem, głowę oparłszy o wyściełaną poręcz kanapy.

— Bo tak trzeba, panie, kto kocha swoją duszę, to ją niesie wysoko.

On zatrzymał się myślą na słowach pani Ireny. I wydało mu się, że widzi w okolo siebie jakieś bardzo szerokie i jasne przestrzenie, które go otaczały oddawna, ale on ich dotąd nie widział. I zarazem uczył, że za chwilę znów mu się ciemno zrobi, bo mu nie ma kto świecić w życiu; więc go ogarnął niezmierny żal i sieroctwo. Stał przed panią Ireną i powiedział z goryczą.

— Proszę pani, i co to dziwnego, że tym, co siedzą w słońcu, ciepło?

A ona odjęła głowę od poręczy kanapy i popatrzywszy na niego przez chwilę, rzekła.

— Pan chce powiedzieć, że dobrymi latwo być w szczęściu? Tak, pan ma słuszność, ale nie zupełnie. Życiowa niedola ma też swoje wyżyny i wie doskonale, że szczęśliwi stoją od niej niżej.

— To paradoks.

— Nie.

I pani Irena zniżyła trochę głos, bo zaczęła mówić o rzeczy smutnej.

— Kiedy przed trzema laty umarł mój synek, i przyszła mnie pocieszać moja siostra, której wszystkie dzieci żyły, to mnie się wydawało, że ja ją przerosłam o całą wielkość mojego bólu...

— Ale pomimo tego przeswiadczenia, pani wtedy było źle i pewnie za żadną cenę nie chciałaby pani drugi raz przez to przechodzić.

— Nie — wyszeptwała — ale jak dziś sobie przypomnę, żem ja wtedy przy martwym ciałku mojego synka zmuszała się, aby mówić nietylko ustami, ale i sercem: „Bądź wola Twoja“ — i teraz w tę przeszłość swoją popatrzę, to mi w duszy jasno...

I ożywiła się jej twarz i miała taki wyraz jak u dziecka, kiedy się z czego cieszy.

— Bo to, widzi pan, w życiu najważniejsze to, co się za sobą zostawia: gruz czy perły. Jak dużo pereł, to wtedy widno, pan przecie wie, że perły świecą.

— Ma pani słuszność, one świecą. I pan Władysław patrzył na nią, jakby i ona sama była taką jasną i przeczystą perłą. Do saloniku wbiegły dzieci, bawiące się przez chwilę w stołowym pokoju. Anusia zarzuciła matce ręce wkoło szyi i zaczęła ją całować.

— Mamusku, śpiewajmy kolendy! Chodź, zagraj kolendy!

— Tolendy, tolendy! — wołała i Zosia, starając się wdrapać na kanapę.

Pani Irena podniosła się i siadła przy fortepianie, a Jaś i Anusia stanęli obok niej. Pan Władysław pozostał na fotelu, wżął sobie tylko Zosię na kolana.

I zaczął doznawać uczucia, że to on jest tu mężem i ojcem, jego żona siedzi przy fortepianie, i że on swoją córkę na kolanach trzyma. A że to złudzenie ogromną sprawiło mu przyjemność, więc go od siebie nie odpędzał.

Pani Irena grać zaczęła.
— A co chcecie śpiewać? — spytała, patrząc na dzieci.

— A „W żłobie leży...“ — zawołał Jaś.

Ale mu Anusia zaprzeczyła.

— Nie, nie, to nie takie ładne! Mamusiu, wiesz to: „Lulaj że Jezuniu...“ to! to!

Więc matka zagrała, a dzieci z nią razem śpie-

... Jezuniu, lulaj że, lulaj
do snu utulaj!

... kolan pana Władysława
... do snu utulaj!
... jak mogła naj-
... i buzię otwie-
Władysław przechylił ją
... szeroko otwarte usteczka,
więc się też rozmarzał coraz

... ci przestali śpiewać, pani Irenka
... na dzieci do sypialni i ułożywszy je
... zkach, znów powróciła do gościa

... nęła przy stole i zamysliła się.

Jaka ona młoda! — mówił sobie pan Władysław, patrząc na jej białą kształtną postać i na ciemnowłosą główkę. I taki w niej urok, szalenie pociągający, szalenie, szalenie...

A ona właśnie obudziła się z chwilowej zadumy i powiedziała skarżącym tonem:

— No, i widzi pan, jaki to biedak z tego Staska! Bóg wie kiedy wróci.

Ale pan Władysław jeszcze się nie był wytrzymał ze swoich złudnych mirażów, więc słowa pani Ireny zrobiły na nim wrażenie, jakby go kto zepchnął z wysokości w dół, zakłuło go coś w sercu, a myśli powiedziały mu: „Jakiś ty niesłychanie głupi!“ I niewiadomo z kąd, wydało mu się, że temu wszystkiemu winien ten Stasiek; tak się też zaraz na niego porwał.

— A pewnie, że wielki biedak! Wielki biedak; poszedł i za godzinę wrócił. Są tacy, którzy nie mają gdzie wracać...

I pan Władysław zaczął chodzić po pokoju. Ona usiadła na dawnym swoim miejscu i popatrzyła na niego uważniej.

— Dla czego on się tak raptem zniecierpliwil? — pomyślała. To ti ki spokojny, łagodny człowiek. Jemu dziś coś dolega...

Obudziło się w niej zaraz współczucie, a z niemchęć dania mu ulgi.

— Panu musi być nieraz ciężko tak samemu, prawda? — zapytała łagodnie.

Spojrzał na nią i nagle wydało mu się, jakby te wszystkie tęsknoty i niedole, co mu przez ciąg życia w sercu się odzywały, a potem cichły i szły w przeszłość, teraz zebrały się nanowo, wszystkie razem, ciężkie i takie niezmierne, że mu się w piersiach zmieścić nie mogły i aż go otoczyły na zewnątrz, a on w nich stał, tak jak w powietrzu.

— Pan powinien zmienić swoje życie — mówiła dalej — takie jak teraz jest, jest panu ciężarem, a mogłoby być szczęściem.

O, że mogłoby być szczęściem, to on właśnie w tej chwili bardzo silnie uczuł, kiedy wzrokiem objął siedzącą wprost niego kobietę. Nigdy nie widział w niej tyle czaru fizycznego i tyle duchowego anielstwa, i po raz pierwszy był z nią tak długo sam na sam. Więc mu się zaczęła dusza przed nią korzyć, a jednocześnie uczuł w sobie jakiś wielki popęd do zbliżenia się do niej, do przytulenia jej głowy do swoich piersi i do całowania jej rąk. Ale że był człowiekiem uczciwym, tak go sam ten popęd przeraził; cofnął się prawie instynktowo.

A w czarnych źrenicach pani Irenki ukazało się raptem wielkie zdziwienie, dłoń oparła o brzeg stołu i podała się trochę naprzód, jakby chciała lepiej dojrzeć to, co ją zdumiało.

I od twarzy pana Władysława oczy odwróciła nagle i zarumieniła się jak szkarłat.

Milczeli.
Dopiero po dość długiej chwili podniosła się młoda kobieta z kanapy i, idąc ku gabinetowi męża, powiedziała półgłosem:

— Staś pewnie już niedługo powróci; gdyby miał tam zostać do rana, byłby mię zawiadomił. Niech pan poczeka do jego powrotu. Pokażę panu bardzo piękne ilustracje Rzymu, które Staś dostał dziś rano od alumnów. On tam leczy w seminarium, pan wie.

I poszła do pokoju męża, a pan Władysław zaczął sobie mówić w myślach:

— Jakie ona ma rozumne serce, jaką ma dużą dziewiczą... tylko... że ona wszystkiego nie dopatrywała... Jej się wydaje, że to nie tyle uczucie odezwało się we mnie, ile raczej powiew tęsknoty, co szedł na mnie od tej wigilii... I dla tego chce, abym pozostał, aby się zatarło to całe nic, ten pył, i abym od nich odszedł taki sam, jak dawniej... Jakie ona ma rozumne i prawe serce... tylko — i pan Władysław uśmiechnął się boleśnie — tylko... że ona *wszystkiego*, na szczęście... nie dojrzała...

I zapatrzył się w płomień lampy i myślał:

— Więc to jednak można nosić w sercu całe lata... i nawet nie wiedzieć... Mnie się zdawało, że ja ją tylko szanuję i ogromnie lubię... I ja nie dopatrywałem...

Do pokoju weszła pani Irena, niosąc album z widokami Rzymu. Zaraz od progu trochę lekliwie spojrzała na pana Władysława, ale on uśmiechnął się do niej przyjaźnie i tak, jakby po dawnemu; bo kiedy ją zobaczył wchodzącą, to powiedział sobie: „Niechże będzie pył...“

Siedli więc naprzeciwko siebie i zaczęli oglądać fotografie.

— A te schody, widzi pan, o te, to są w kościele Świętego Jana Laterańskiego, po nich można wstępować, ale tylko na kolanach — mówiła pani Irena niezupełnie jeszcze pewnym głosem, podając gościowi karton.

A on, patrząc na ilustrację, myślał:

— Ciekawym, czy to będzie należało do kategorii pereł, czy do gruzu?... Ona możeby rozpoznała... ja wiem tylko, że mi z tem wcale nie widno...

I w dalszym ciągu odbierał z rąk pani Irenki fotografie i patrzył na nie.

— A toż co?! — zawołał nagle. — Tak, tak, to z ludzkich kości! Widziała pani? Cały ołtarz, całe ściany ze szkieletów!

Spojrzała.

— A tak, to jest ta kaplica cmentarna z kości męczenników. Niech pan zauważy, nawet i świeczniki są z ramion ludzkich — dokończyła już swobodniej.

— No, no! no! Ale to musi robić jednak ogromne wrażenie!

— Ach z pewnością, że ogromne!

Spojrzeli na siebie.

Pani Irence wydało się, że pył już zupełnie był starty.

W przedpokoju dało się słyszeć przekręcenie klucza w zatrasku.

— Stasiek! — ucieszyła się doktorowa.

I poszli oboje do przedpokoju.

— No, przecieżem wrócił! — mówił Życki, rozbierając się. — Aha, Władek, jeszcze jesteś?

— Tak, ale już pójdę!

— Posiedź, jeszcze wcześniej!

— Nie, nie. Dziękuje państwu za ten wieczór.

Pan Władysław zaczął się żegnać, a kiedy się schylił do ręki pani Irenki, to powiedział pół żartem, aby ją upewnić zupełnie w słuszności jej spostrzeżenia:

— Niech mię pani za ucho pociągnie...

— Nie, nie... — odrzekła, uśmiechając się i pogładziła jakimś prawie macierzyńskim ruchem jego pochyloną głowę.

A Życki właśnie w tej chwili ręce na swoją własną czuprynę założył i ziewnął.

— Dobranoc państwu.

— Dobranoc.

Panowie pocałowali się i gość wyszedł.

Na ulicy było cicho i białe, gwiazdy iskrzyły się na niebie i księżyc wśród obłoków płynął.

Pan Władysław stał i patrzył.

I zaczął doznawać złudzenia, że ten cichy przestwór ogląda z nieznaną dotąd strony: widział w naturze smutek i wielką melancholię, a zarazem wydało mu się, że wpośród tych wszystkich niezmiernych tęsknot przyrody znajduje się i jego cierpienie, bolesne i nieme; czuł je we własnym sercu i jednocześnie tam wysoko, kiedy wzrokiem sięgał do gwiazd...

Aleksandra Łapińska.

KONIEC.

Wróć!

Niby piosnka z mych gęślików
Uleciałeś w dal,
A w mem sercu zostawiłeś
Tęsknotę i żal!
Zaginałeś w sinym kręgu
Lazurowych mórz,
Podążyłeś jasnym szlakiem
Promienistych zórz!
Rozpłynąłeś się jak cudna
Srebrno-biała mgła,
Serce moje wzięłeś z sobą
Mnie została łza!
Cichą nocką z mych gęślików
Piosnka rzewna mknie,
Pośród sennych traw i kwiatów
Płacze, żali się!
Coraz ciszej piosnka płynie
Łzy w jej dźwiękach czuć,
Ach! na skrzydłach tej piosenki
Wróć się do mnie, wróć!

Zofia Biesiadzka.

Lwów.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg)

Młodszy z jenerałów miał do zarządu domu swego kawalerskiego pannę, zdaje mi się Popławską, dość nadobną.

Chociaż skąpy, ale arystokrata, otaczał się jenerał nietylko kosztownymi sprzętami, do których wielką przywiązywał wartość, ale i osobiste jego otoczenie składać się powinno było z ludzi niepospolitych. Kamerdyner z młodzieży ucziwej, ale nie mającej, miał uczucia honoru wpojone z dzieciństwa, których nie mógł się pozbyć i w służbie. To dogadzało dumie, ale nie delikatnym uczuciom jenerała. Pewnego dnia, kiedy mu podawał kawę, kamerdyner upuścił filiżankę kosztowną bardzo, ulubioną panu... W pierwszym popędzie gniewu jenerał uderzył w twarz nieszczęśliwego, ale ucziwego sługę; nie mógł znieść tego czynu, ani obelg za nim miotanych, wybiegł pełen rozpacz, ale powróciwszy natychmiast, ugadza go niespodzianie dobrze wymierzonym ciosem w serce — i jenerał żyć przestał. Zabójca niechronił się bynajmniej,

nym krokiem idąc ulicą, został aresztowany. Nie zaprzeczał swego czynu, a zapytany o główny powód tego występkę, odpowiedział spokojnie: „ażeby świat uwolnił od takiego człowieka.“

Wkrótce zginął na rusztowaniu.

Syn, doszedłszy pełnoletności, odziedziczył majątek po ojcu i zapragnął tytułu hrabi, który jemu służył. Udał się w tym przedmiocie z prośbą do króla Jmci pruskiego Fryderyka Wilhelma III-go. Ten mu kazał odpowiedzieć, że tej godności posiadać nie może.

— A więc kiedy nie hrabią, to chłopem jestem!

Przywdział ubiór wiejsko-fantastyczny (1825), otoczył się młodzieżą demagogiczną, wspierał ich potrzeby i usiłowania, a liberalizm owej okolicy około niego wiązał się. W r. 1830 udał się w misji do Węgier i Turcji, walczył w szeregach Machmut Alego przeciw Turkom, miał mówę w Paryżu przy trumnie Beniamina Constant, a dziś wróciwszy z emigracją, żyje w swych dobach w Księżtwie Poznańskim.

Widziałam go. Twarz ściągała, blada, bez wyrazu wydatnego, nie podobien ojcu swemu, wysoki, pochyły cokolwiek, włosy długie na ramiona opuszczone, rajtuzy szerokie, kozackie, buty na krój chłopski okrągłe, kapota niby chłopska do kostek, ale u niej rękawy z wylotami, jak u dawnej szlachty polskiej; pod kapotą pas czerwony wełniany z wielkimi kwastami, spadającymi jak u szarfy wojskowej.

Tak wiele mówiono w owym czasie o tym przyborze, że go tu umieściłam, jako ciekawe i niewidziane w owym czasie zjawisko. Byłabym wolała, żeby ten przestwór z innego źródła, jak z upokorzonej wynikał pychy, albowiem demokracja, z wyższego uważana stanowiska, chyliła już wszelkie wyniosłe umysły ku polepszeniu doli ludu; już się przekonywano, że arystokracja rodowa tylko tam blask rzucać może pożyczany, gdzie jest wsparta osobistymi zaletami i mieniem.

Klejnot szlachectwa sam przez się obrudzony był niewiarygodnością, opilstwem i burdą, najczęściej skutkami nędzy rozdrobnionej, beczynnej, usłużnej dotąd magnatom szlachty, przyzwyczajonej zadawnionym przesądem do bezczynności. Znak herbowy kałał się w poniżeniu, odkąd magnaci nie władali stronnictwami i nie potrzebowali gotowych rąk do wspierania szablą zamiarów swoich politycznych lub zemsty i wyniesienia osobistego. Z sejmikowej powstała teraz jarmarczna szlachta, która pomiędzy sobą familijne lub protekcyjne tworząc stronnictwa, zapijała na jarmarkach i zjazdach obywatelskich w celu interesów lub zabawy — i tam zaczęła równych sobie, a czasem i godniejsze postawą w świecie osoby.

Obawa burd i pijatyk odchęcała możniejszych od tych publicznych towarzystw, dla tego w domach swoich żyli wspaniale, otwarte mieli pokoje i stoły, liczne usłużenie. Zjeżdżało się mnóstwo gości, familii i przyjaciół. Dla zastąpienia maskarad publicznych robiono kuligi, zapowiedziane jako niespodziankę obojętnemu gospodarzowi, a czyniono mu przez to zaszczyt, bo za wierzano obfitości domowej, gotowości służby, a nade wszystko niezmiennej gościnności obywatelskiej. Każdy jak mógł odpowiadał tej opinii, a jeżeli mniej możnego ale szanownego sąsiada uczczono kuligiem, to możniejszy przywódca

wesołej rzeszy razem z zapowiedzeniem pustego arlekina wysłał wóz ładowny z przyrządzoną ucztą i kucharzami, aby ułatwić przyjęcie i pokryć niedostatek domu.

Ale na to majątki topniały! Wyjeżdżano za granicę dla oszczędności! Komisarze i plenipotenci bogacili się, a dzieci owych wspaniałych i gościnnych panów tworzyły sobie na ulamkach fortuny rodzicielskiej sztuczne istnienie, podtrzymane to ożenieniem, to kredytem, to spekulacją lub urzędowaniem. — Ich wnuki? — o, ci już żyją przemysłem i obliczeniem! Wszystko jest wymierzone na łuty i cale: utrzymanie rodziny, gościnność, nawet i dobroczynność. Śród całej tej rachuby tłumią się uczucia — niknie poświęcenie... a jeżeli jeszcze gdzie zabłąśnie, to nabywa wysokiej wartości dla tego, że będąc zjawiskiem nie ma popędu w przykładzie, spółbieganiu spółczuciu.

XXV.

Rodzina cześnika.

Do owego społeczeństwa należał jeszcze szanowny cześnik Kraszewski z Tarkowa. Żona jego siostrą była mego szwagra Polewskiego. Gospodyni, elegantka, dobra matka i nieoceniona córka, do późnej starości opiekowała się głuchą i niewidomą matką i takież później doznawała opieki dziecinnej, ale od syna.

Oboje byli nabożni w całej rozciągłości tego wyrazu. Pomimo uczęszczania na wielkim świecie, cześnik był syndykiem Reformatów, odbywał procesy publiczne z krzyżem, zakapturzony; przewodniczył na odpustach, wierzył w czary, pościł suchotami. Robiono mu figle i niespodzianki. I tak, w dzień postny urządzano postny na pozór, a w rzeczy samej mięsny obiad, o czym dopiero po spożyciu onego powiedziano.

Au! znane przysłowia: „niewiadomość grzechu nie czyni,“ „na kapłonie do piekła nie polecisz,“ „na szczupaku do nieba nie popłyniesz“ — żadne dowody oparte na historii kościelnej, dochodze-

niu filozoficznym, prawach teokratycznych, nie były dość silne, żeby go ukoić w gniewie. Płukał usta, odbywał modły domowe, dawał jałmużny i ofiary klasztorom; spowiedzie, odpusty, — wszystko poruszył, aby się oczyścić z popełnionego grzechu.

Ale to był człowiek prawy, a mimo niedostatku wyobrażeń w biegu będących, dał dzieciom wychowanie zastosowane do biegu czasu. Miał nawet pociechę widzieć syna swego Antoniego celującego wyższym umysłem. Po odbytej akademii w Getyndze został doktoryzowany i ofiarowano mu w niej posadę profesora filozofii. Wyładki powołały go do Warszawy; poczem wrócił, aby złagodzić ostatek cierpień starości i niedołęztwa matki swej; oswobodzić zabiegami i pracą majątek rodzinny.

Starszy syn cześnika, o słabym umysłu, o mało nie padł pod ciężarem życia, o mało nie ożenił się z gwałtowną, lekką, gwałtowną, która jego życie poświęciła na dokończenie dzieł, podziwiających najpiękniejszego prawdziwego kwiatu.

(Dokończenie nastąpi.)

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: arkusz 5-ty powieści, p. t. *Adolf Ribbing* przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratorem z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Pomnik Mickiewicza. — Biała baszta, nowella, przez Szczęsą (dokończenie). — Błogosławieni! przez Józefa Wiśniowskiego. — Pył. Nowella, przez Aleksandrę Łapińską (dokończenie). — Wróć! przez Zofię Biesiadzką. — Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg).

Dodatek obejmuje: *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 5-ty. — Przegląd mód. 25 wzorów i robót z opisem. — *Se reta* gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Kraków. — Przedmieście Nr. 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Дозволено Цензурою. — Варшава, 16 Декабря 1898 г.

